Rozmaitości

Dnia 19. Listopada Nr 47. 1836 Roku.

VAN-DYK W GENUI.

Powiść przez p. Mery.

Słońce świetniejsze niż kiedy zeszło nad miastem Genuą, jakby chciało uświetnić wesele hrabiego Brignole. We wnętrznéj części portu panowało głębokie milczenie; przystań i studnia S. Krysztofa były opuszczone; galery bez ruchu spoczywały na cichém i błękitném morzu, w którém się odbijała pyszna wystawa pałacu Doryjów. Wszystko co żyło przeniosło się na ulicę *San Luca*, a cała owa tłuszcza, co krok wzrastająca, skierowała się ku kościołowi katedralnemu San Lorenzo, napełniając wązkie i kręte uliczki, które otaczają do koła ten gmach gotycki z czarnego i białego marmuru.

Piękne są Genuenki, lecz hrabina Brignole była piękniejsza nad wszystkie. Miała lat ośmnaście; nigdy piękniejszy włos kruczy nie ocieniał jaśniejszego czoła, i nigdy piękniejsza płeć nie powlekała tak uroczych lic; mówiono o niéj jak o jakim cudzie, a to jeszcze we Włoszech i w takim czasie, w którym ten kraj tyle boskich wzorów swoim artystom dostarzyć zdołał. Hrabia Brignole, krewny Durazzów i Doryjów Tursych, kazał wznieść na ulicy *Balbi* pałac, godny swojéj nieporównanéj małżonki.

Kościoł S. Lorenzo gorzał tysiącem świateł, wszystka szlachta, zstąpiwszy ze swoich marmurowych pałaców napełniła nawę kościoła i miejsce w blizkości ołtarza, bogaty stan miejski zajmował poboczne kaplicy, a gmin ciekawy cisnął się do przedsionków i wszystkie opanował wnijścia. Nikt tam nie przyszedł, aby się modlił; królową uroczystości była hrabina Brignole; trudno było rozeznać rysów jéj twarzy w chwili, gdy klęczała przed ołtarzem, lecz gdy powstała i odgarnęła zasłonę z twarzy, gdy spojrzenie cisnęła w głąb kościoła, natenczas szmer podziwienia z dźwiękiem gregoryjańskich pieśni obił się o jego sklepienie.

O kilka kroków przed stopniami wielkiego ołtarza zwracał uwagę na siebie młody jakiś mężczyzna, odmienny od innych ułożeniem i postawą; ubior, który miał na sobie, nie był ani szlachcica, ani mieszczanina, ani kupca. Cały ustrojon był w jedwabie i czarny aksamit, sposobem jemu tylko właściwym; oblicze miał blade, nie wielki wąsik czerniał nad jego ustami, a mała bródka dodawała wdzięku mezkiéj jego twarzy. Podczas całego obrzędu ani klęczał, ani się modlił, ani usiadł. Z wyrazem tajemnego uczucia poglądał na piękną hrabinę; ba nawet nie zdejmował z niéj oka. Nieporuszony stał on o kolumnę oparty, a chociaż gwałtowne wzruszenie wstrząsało nim w głębi, jednakże nie pokazywał tego po sobie; widząc go w tym stanie, snadnoby mieć go można za kamienny posąg; młodzieniec ten byłto malarz Antoni Van-Dyk.

Dopiéro wtedy zdawało się, że ożył, gdy chorągwie bractw z przed wielkiego ołtarza udały się na środek kościoła, kiedy posąg srebrny Najs. Panny przez czterech majtków galery doryjów niesiony, przesunął się nad głowami tłumu. Po ślubnym obrzędzie zaczęła się procesyja. Hrabina Brignole postępowała za posągiem Matki Boskiéj w towarzystwie swego oblubieńca, pyszniącego się ze swéj pary. Van-Dyk, ujrzawszy ich koło siebie przechodzących, rzekł do hrabiego Pallavicini: »Dałbym cały mój żywot za ćwierć godziny życia tego człowieka!« Nikt tych słów nie posłyszał, utonęły one w pieśń brzmiącą: *Salve*

Regina, którą lud z zapałem zanucił, podczas gdy nań hrabina, która hojną jałmużną obdarzała wszystkie klasztory, ognisty wzrok swój rzucała. Van-Dyk, złączywszy się z orszakiem szlachty, szedł za procesyją ku przedmieściu *S. Pietro Arena*. Dzień był na schyłku; słońce spuszczało się na piękne wody liguryjskiéj zatoki; pagórki jaśniały uroczo w łagodném świetle; dzwony zabrzmiały w powietrzu; okręty wystrzałami swemi pozdrawiały obie dziewice; wiatr rozwiewał wstęgi i bandery; kadzidła napełniały wonią powietrze, a kiedy jeszcze z pośrodka tych brzmień radośnych, tego szumu powiewających chorągwi, tych woni, zalatujących od morza i wzgórzów, hymn *Ave Maris stella* w jeden chór zlany, wzbił się pod niebiosa — wtedy uczuł Van-Dyk, jak mu łzy potoczyły się po licu, i jak dreszcz przebiegł po całém jego ciele. Pałac Doryjów otworzył bramy swoje duchowieństwu z kościoła San Lorenzo. *Ave Maris stella* zabrzmiało pod wystawą, nad brzegiem morza; wszystkie bliżéj stojące w porcie galery powtórzyły ten hymn dziewiczy. Zdawało się, jakoby niebo, ziemia i morze w nieogarnionym chórze piały cześć młodéj oblubienicy, która jak jutrzenka świéciła z pod marmurowéj wystawy pałacu Doryjów.

Van-Dyk wydobył się z natłoku i udał się w cienie samotnych ogrodów, które w kształt amfiteatru wznoszą się za pałacem, od strony posągu Olbrzyma. Tam zebrał on myśli swoje i zastanawiał się nad tém, co mu przedsięwziąć pozostaje. Kochał hrabinę; nie byłato miłość zwyczajna, lecz namiętność artysty; kochał ją od dwóch lat; widział on ten kwiat pyszny, rozkwitający w ogrodach śród wodotrysków i drzew cytrynowych. Malarz nie mógł nic ofiarować tym genueńskim rodzinom, bogatszym od królów. Nié miał on ani pałacu marmurowego, ani okrętów w porcie; skrył tedy tajemnicę miłości swojéj w głąb serca, i nie występował z nią. Powierzył się jednemu człowiekowi, hrabiemu Pallavicini, wielkodusznemu i zacnemu panu; ten gotów był oddać swój majątek dla Van-Dyka, lecz jego pałac i jego przepyszna wila zrujnowały go zupełnie.

Uroczystość, spiewy, dzwony, tłum ludu, wprawiły poniekąd Van-Dyka w roztargnienie; lecz teraz, samotny na wzgórzu *Doryja*, uczuł cały zarzący się ciężar swojéj namiętności. Przypatrywał się morzu; spaniały widok, który często zasmuca, a nie pociesza nigdy; uważał pysznę Genuę, panującą swoim wzgórzom, spiewającą radość swoję wesołémi pieśniami dzwonów, i łączącą w swojém łonie surowy klasztor z wesołą i rozkoszną wilą na jedném wzgórzu.

Van-Dyk zamknął oczy i uderzył się w czoło; łagodny wietrzyk przyniósł mu daleką melodyję procesyi, w konających odgłosach, lekką i czyściéj brzmiącą w oddali, słodką dla jego uszu, jak włoskie słowo z ust ubostwionéj hrabiny Brignole. Van-Dyk z udręczoném sercem powstał żywo i porwał swoją szpadę wiszącą nad nim na gałęzi.

Opuścił wzgórze tego pysznego, lecz jak piramida spadzistego ogrodu, pospieszył przez most z ukosa przez ulicę rzucony, a wiodący ze wzgórzów winnych do pałacu, i wszedł do galeryi, w któréj był zostawił hrabiego Pallavicini. Samotność panowała w galeryi. Van Dyk nie uczcił spojrzeniem ani wybornych obrazów *al fresco* Periniego di Vaga, ani posągów Filipa Karlone, lecz odprowadzał wzrokiem ostatek procesyi po drodze z kwiatów. Duchowieństwo z San Lorenzo powróciło było już dawno do kościoła; tłum się rozeszedł, lecz liczne kupy krążyły na placu *Annuncyjady* w miejscu dzisiejszych zaślubin. Van-Dyk, przechodząc przez to miejsce, posłyszał kilkakrotne wymówienie hrabiny, a jéj piękność chwaloną z tak głośném i przesadném uniesieniem, jakie zwykle zabawy mieszkańców Południa na otwartych nawet miejscach ożywia. Nie zatrzymywał on się, albowiem noc zapadła, przemknął się trwożliwie ku ulicy *Balbi*, a poruszenie ostatnie, ale straszne groziło mu uduszeniem, gdy ujrzał pałac Durazzo spaniale oświecony, uroczyście przystrojony, a jego wały, krużganki i napowietrzne pawilony najpiękniejszemi paniami okryte. Po procesyi bal się rozpoczął; urok tańca wstrząsał już tym spaniałym pałacem, tą prawie przejrzyście zbudowaną i ustrojoną górą marmurową, z swojémi lekiemi wschodami i rzędami wyniosłych słupów. Van-Dyk oparł się o mur pałacu Ferra, i jakby skamieniały, pogrążył się w ponure dumania. Cierpiał on ten ból artysty, którego nie zdoła wyrazić żaden znak, żadne słowo, żaden język;

tę dolegliwość, którą przyroda wynalazła okrutnie, aby ukarać swoich wybrańców za wysokie od niej odebrane dary; owe dary, których im nieoświecona, niebolejąca tłuszcza zazdrości. Dopiéro gdy ujrzał hrabię Pallavicini przy świetle pochodni zchodzącego z wielkich schodów pałacu, ocknął się ze swoich ponurych marzeń; porwał go żywo za ramię i pociągnął w uliczkę *San Ciro*: »Mów mi o téj pani, powiedz, widziałżeś ją?« — »Właśnie z nią teraz tańczyłem,« odrzekł Pallavicini zimno. — »O, pozwól ręki, któréj ona dotykała, niech ją ucałuję!« — »Sztukmistrzu, tyś oszalał.« — »Jestem w rozpaczy!« — »Czas cię uleczy.« — »Nigdy!« — »On uleczył mnie, mnie, który utraciłem więcéj niż żonę, i dwa pałace.« — »Ach! oddałbym całą ulicę *Balbi* za jeden całus tego anioła.« — »Gdyby *strada Balbi* była twoją własnością, namyślałbyś się nad tém.« — »Więc dałbym życie moje.« — »No, to łatwiejsza; lecz cóż zamyślasz? Ona zamężna.« — »Nie jeszcze.« — »Jako, jeszcze nie? podpisałem jéj ślubną ugodę.« — »Nie jeszcze, powiadam ci.« — »Ach, rozumię cię teraz... właśnie bije dziesiąta w San Karlo, w przeciągu dwóch godzin będzie zamężna.« — »Tak, potępiona! z tym głupim hrabią! i cóż on robi? on...,« — »On, gra rolę męża; towarzyszy żonie we wszystkich kadrylach; chłonie ją oczyma, szepce jéj cicho do ucha; patrzy co chwila na swój zégarek; kazał w sali balowéj posunąć zégar o pół godziny naprzód; on szczęśliwy, on głupi.« — »A pani?« — »Pani tańczy, zachwycona jest tańcem, albowiem co tylko wyszła z klasztoru; tańczyłaby noc całą i jutrzejszy dzień cały.« — »Zdajeż się ona kochać, swego...« — »Ona tańczy, powiadam ci, a gdy młoda pani tańczy, natenczas nie myśli o niczém, tylko o sobie, o swoim ubiorze, i o swoim tancerzu.« — »Płocha!« zawołał Van-Dyk, »i dla tychto istot niszczymy się, podkopujemy nasze zdrowie, nękamy naszego ducha, i nużymy nasze ciało! A wtedy mówią nam ony, że nas mocniéj kochają, jak my ich. Okrutne oszukaństwo! ich miłość jako kochanek, jest tylko samolubstwem; ich miłość jako żon, jest tylko toaletowym spiskiem, ich miłość jako matek instynktem tylko, wszczepionym przez przyrodę w ich serca!... ach, plotę nie do rzeczy; głowa mi się pali, trzymaj mię mocno, abym sobie o bruk czoła nie roztrzaskał!« — »Biédny mój przyjacielu!« — »O, w głowie mojéj jest jedna myśl nieznośna, jakby ćwiokami przykuta, myśl, co piecze jak zarzewie, myśl, któréj wygnać nie mogę!... we dwóch godzinach!« — »Mówmy o czém innéin. Czy oglądałeś widok morski Arazziego, który dziś nadszedł do wili *Scoglietto*?« — »Nie, czy Arazzi maluje widoki morskie?... we dwóch godzinach!« — »On nie przedni w tym rodzaju.« — »On w niczém nie przedni!« — »To artystowska niesprawiedliwość. Jego bitwa na pałacu Doryjów jest dziełem mistrzowskiém.« — »Koloryt jego fałszywy... szłyszysz ty, słyszysz? ucichła muzyka, bal się skończył... Wróćmy do ulicy *Balbi*.« — »To tylko przestanek, nie można ustawicznie tańczyć; teraz odpoczywają, aby bal przeciągnąć aż do białego dnia.« — »Tego życzą sobie goście, ale ona?« — »Ona może także. Jak ci się zdają obrazy *al fresco* Periniego di Vaga? Czy podoba ci się jego talent?« — »Nie, jest on pospolity, ale w oddaniu niezgrabny... Muzyki nie słychać więcéj; koniec już, koniec!« — »Zacznie się ona znowu. Zrobię ci podarunek z ostatniego obrazu, który mi został, jestto Najś. Panna przez Giordano.« — »Pójdź, pójdź do pałacu Durazzo.« — »Co myślisz o Giordanie?« — »To bazgracz, malarz galarowy... trzymaj sobie swój obraz. Mój Boże! co za dzień szkaradny! Kościoł, kadzidło, kwiaty, *Ave maris stella*, morze, modlitwy, uroczystość, bal, miłość, ach, nieubłagana miłość... jestto dzień ogrzany płomieńmi piekła dla mnie, uwoniony zapachem rajskich róż dla innych... pójdź, spieszmy do Durazzo!«

Poszli wązką uliczką *San Ciro* w górę i siedli na bryle marmurowéj, ociosywanéj do pałacu Ferra. Muzyka balowa zabrzmiała na nowo, ale na wałach było mniéj wrzawy, mniéj ludu, mniéj radości. »Jestto skon balu i mój!« zawołał Van-Dyk głosem bez dźwięku. Zerwał się prędko: »Patrz tam, patrz na te cztéry okna, które właśnie teraz zamykają...« Czy wiesz jaki to pokój?... Wiém, już wiém, to pokój pana domu!... Hrabio, jesteśli moim przyjacielem?« — »Twoja przyjaźń jest wszystko, co mi z majątku mego pozostało; na niéj polegaj.« — »Dobrze więc; słuchaj mię. Noc uchodzi, mija godzina, krew wzburza moje serce, umrę, jeźli mię nie wesprzesz. Pójdź do pałacu Durazzo, zażądaj mówić po-

tajemnie z hrabią, czy będzie w sali, czy w swoim pokoju, czy sam, czy też z kim innym, powiedz mu, że wróg jego ojca, markiz de Gippino, czeka nań ze szpadą i sztyletem przy studni na dolinie Lerbińskiej, że Gippino udaje się z całym pospiechem do Florencyi, i tylko na chwilę wstrzymał się pod wałami Genuy dla tego pojedynku na śmierć lub życie, że odmówienie jest bezczeźcią, zwłoką, tchórzostwem. Spiesz, spiesz! świece gasną, kobiéty towarzyszą hrabinie do jéj pokojów; nie mów i słowa, spiesz!« — »Spieszę!« odrzekł Pallavicini z zimną krwią.

(Dokończenie nastąpi.)

PRZYPADEK DUFAWELA, ROBOTNIKA,

ZASYPANEGO ZIEMIĄ W STUDNI.

Przez niego samego opowiadany.*)

Znajdowałem się o siódméj godzinie z rana w górze przy studni, gdy jeden z moich towarzyszy, który jak najspieszniéj powracał z jéj głębi, powiedział mi, że studnia wnet się zasypie. Studnia ta była sześćdziesiąt i dwie stóp głęboka, i w samym piasku kopana. »No, no,« odpowiedziałem, »będę miał jeszcze dość czasu wywindować się z moim cebrem!« i spuściłem się w dół. W połowie drogi usłyszałem jak spadały wielkie kamienie, mimo to zostawałem wiernym swemu przedsięwzięciu, i dostałem się na spód. Położyłem na cebrze dwie deski i postawiłem na nich nogę, aby się dać w górę wyciągnąć, gdy zarazem posłyszałem nad sobą wielki łoskot; spojrzałem w górę i spostrzegłem że się naraz pięć cembrowin złamało. Skrzyknąłem głośno, lecz w tejże saméj chwili byłem już zasypany i nie widziałem nic więcéj. — Niższe cembrowiny wysterknęły w górę, wyższe zaś w dół, i w ten sposób zetknąwszy się, wstrzymały sypiący się piasek nad moją głową. — Ceber, przymocowany do liny, za pomocą któréj spuściłem się, przytłoczył mi nieco lewą nogę. Przestrzeń, która mię więziła była w pierwszym dniu blizko siedmiu stóp wysoka, lecz się zmniejszyła coraz bardziéj i już trzeciego dnia zmuszony byłem przez pochylenie się desek i nacisk ziemi do téj przykréj postawy, w któréj następnych dni jedynaście aż do mego uwolnienia przetrwałem.

Towarzysze moi, będący nad studnią, ciągnęli za linę, myśląc, że mnie tym sposobem uratują, mój ceber podniósł się aż do desek, na których się ziemia oparła, a gdy go na nowo wyciągnąć usiłowano, oparłszy się o deski wstrząsnął je tak mocno, że ziemia na dół opadać zaczęła; wiedziałem już wtedy, że go wyciągnąć niepodobna. Siła dwudziestu wołów ledwieby temu podołała. Moi biédni towarzysze musieli mię już miéć za straconego, albowiem przestali ciągnąć za linę. (Znalazłszy tak wielki opór rozpaczający robotnicy, istotnie opuścili studnię, i myśleli, że Dufawel zgubionym jest bez ratunku.) Teraz pociągnąłem linę do siebie i okręciłem naokoło cebra, obawiając się, aby ją raz jeszcze w górę ciągnąć nie zamierzyli. Wkrótce zaczęli ciągnąć na nowo, lecz skorom potrzegł, że się lina w górę podnosi, przeciąłem ją moim nożem, nim jeszcze ceber oparł się o deski. (Następująca okoliczność przyczyniła się do uwolnienia Dufawela, gdy go towarzysze opuścili, próbował pewien młody człowiek obracać korbą kołowrotu, a gdy dwa razy obróciwszy nie znalazł żadnego oporu, przywołał robotników, którzy wróciwszy, ciągnęli znowu za linę, a znalazłszy ją uciętą, przekonali się z radością, że to mógł jedynie uczynić ich nieszczęśliwy towarzysz, a zatém że on jeszcze żyje, poczém przedsięwzięli kroki do jego uwolnienia.)

Dziura, którędy lina szła, formowała mały otwór, którym się piasek osuwał; na szczęście zatkał ją wnet spadający krzemień, znajdowałem się przy jednéj stronie studni, oparty plecami o nasyp ziemi, a nad moją głową był złom desek, przez który piasek się sypał. Piasek, który się na dno usunął, obciskał moje nogi, byłem zmuszony deptać go nogami, i mimo chęci zbliżałem się coraz bardziéj ku doskom, które tworzyły sklepienie mego schronienia. Trzeciego dnia znajdowałem się już tak wysoko, że musiałem się zgarbić, i przyjąć tę postawę, którą teraz opiszę: Prawą nogę wziąłem pod siebie, lewą wyciągnąłem przy cebrze, stopę téj ostatniéj wetknąłem w dziurę między dwie deski, prawe kolano wetknąłem pod lewą goleń, tułów był zgięty, bark lewy opiérał się o dwie deski cembrowin, bardzo blizko obręcza, który je wstrzymywał, głowa zaś przechylona była ku prawemu barku; ramiona miałem w części wolne, albowiem mógłem je na w pół wyciągnąć, głowę opiérałem o deski sklepienia, które się tak dziwno nade mną ułożyły; przez cały czas mojego tamże pobytu czułem w około siebie kawałki połamanych desek, które były dość mocne, aby się oprzéć naciskowi zasypu, i wstrzymać piasek, któryby mię był bez wątpienia zadusił.

»Lecz jakże można było porozumiéć się z tobą,« pytał go doktor Bienvenu, »i jak mogło przecisnąć się do ciebie potrzebne do oddychania powietrze?«

Mówiłem już, że nad głową moją znajdował się nie wielki otwór, któregom wprawdzie nie widział, lecz o jego istnieniu przekonywał mię zsypujący się na mnie piasek. W sobotę o go-

*) Przypadek ten zdarzył się nie dawno w Lugdunie, a opis jego wyjęty jest z bruszury pana Bienvenu.

dzinie drugiéj z rana usłyszałem, że mię wołano z góry. Odpowiedziałem: »Szukajcie tylko dobrze w téj stronie, przy któréj jestem, to jest: w téj stronie, w któréj jest czereśnia (drzewo to stoi tuż przy utworze studni) musi tam być dziura, gdyż piasek sypie się tamtędy jak przez lejek.« (Rozumowania jego i wniosek z tąd wyprowadzony były trafne; odkryto wnet ten otwór, przezeń przybyło mu świéżego powietrza, i tylko przezeń można się było z nim porozumiéć i przesłać mu żywność. Był on dość wielki do przepuszczenia małéj flaszeczki, a w niéj spuszczano mu bulijon, wino i tym podobne rzeczy. Poźniéj ścieśnił się, jak to usłyszymy, ten utwor, lecz ta okoliczność, która zdawała się odbiérać mu ostatnią nadzieję ratunku, nie mogła osłabić jego podziwienia godnego męztwa.)

Gdy wynaleziono otwór mowiono ze mną; zawołałem do nich, że jestem dobréj myśli i mam się dobrze, lecz trzeba bardzo ostrożnie postępować, gdyż bezustannie sypię się deszcz piaskowy na moją głowę. Porozcinałem moje suknie i za pomocą mojego noża usiłowałem pozatykać szpary, przez które się sypał piasek. Skoro się było można porozumiéć ze mną przez otwór, żądałem pić; byłem bardzo głodny, ale pragnienie dokuczało mi więcéj; żądałem, aby mi spuszczono szpagat, i przywiązałem doń moją sakiewkę i kulczyki, aby je mojéj żonie oddano; pociągnięto je w górę i byłem spokojny. Dopiéro w sobotę o godzinie szóstéj wieczorem otrzymałem po raz piérwszy napój; trzydzieści sześć godzin upłynęło od czasu zasypania: spuszczono mi flaszkę z bardzo dobrym napojem, po którym mi się wiele polepszyło, tylko że go było za mało. W niedzielę spuszczono mi wina i bulijonu we flaszkach, to wszystko było jednak nie dostateczne do umorzenia mego głodu, i wtedy wpadło mi na myśl jeść korki. (W istocie uważano, że Dufawel żadnego korku nie odesłał, a ponieważ odgadniono użytek, jaki z nich robił, nie zatykano odtąd flaszek.) Flaszki, które potém odbiérałem, nie miały już korków, zatykano je winnémi liśćmi, które zjadałem, gdyż mi się źle zrobiło skorom tylko czas niejaki zostawał bez jadła.

»Czy chorowałeś przez tych cztérnaście dni,« pytał go doktor Bienvenu, »gdyż mawiano często, żeś ciérpiał ból głowy, dodawano nawet, żeś się chciał zabić, albowiem miałeś się za zginionego.«

O nie (odrzekł Dufawel), byłem ciągle o mojém ratunku przekonany; ciérpiałem ból głowy tylko wtedy, gdym długo nie jadł. We czwartek, siódmego dnia spuszczano mi zimny bulijon, który mi sprawił kolki. (Podczas niebytności doktora Chinarda popełniono tę grubą mylkę przeciw dyjecie chorego.) P. Chinard spuścił mi lekarstwo, a po dwóch dniach wyzdrowiałem. Otrzymałem także flaszkę wody kolońskiéj; lecz jéj mocny zapach odurzył mię tylko i powiększył ból głowy. Na wielkim palcu u lewéj nogi dostałem bąbel, rozciąłem go moim nożem i odtąd nie czułem żadnego bolu.

»Kiedy z tobą rozmawiać było można,« mówił doktor, »i kiedy ci dziurą żywność podawano; więc musiałeś i światło dzienne widziéć?«

Nie, bo chociaż otwór znajdował się nad moją głową, jednakże utworzył się nad nim pewien rodzaj kanału pomiędzy złomy cembrowin w postaci *S*, który musiał wychodzić w drugą stronę studni, albowiem światło ztamtąd wpadało. Dowiedziałem się o tém od mego stryja, który w dół złazil. Od godziny dziesiątéj z rana, aż do drugiéj zdawał mi się otwór mniéj ciemny, lecz rzecz ta była mi prawie obojętna.

»Kiedyś nic nie widział,« pytał Bienvenu, »jakżeś mógł dnie liczyć?«

Liczyłem dnie i nocy za pomocą muchy, znajdującéj się w mojéj jamie; musiała to być bardzo wielka mucha, albowiem bardzo mocno brzęczała. Piérwszego dnia słyszałem ją latającą mi nad głową, wtedy było jeszcze miejsca dosyć, a ja stałem wyprostowany; kiedym już jéj słyszéć nie mógł, wniosłem, że jest noc. Kiedy o drugiéj godzinie w sobotę, po raz piérwszy ze mną mówiono, usłyszałem moją muchę dopiéro w kilku godzin poźniéj; od tych, którzy na dół zstępowali dowiedziałem się o czasie, i nie chybiłem. Następnych dni przylatywała mucha codzień ze wschodem słońca, siadała mi na głowę, ręce, a nawet na moje pokarmy; skoro zjadła swój obiad, natychmiast znikała, lub nie brzęczała więcéj, lecz po chwili wracała. Wiedziałem, że siadała na moje pokarmy, albowiem skorom ich dotknął, słyszałem, jak zlatywała. Ach, jakże często wołałem: Szczęśliwa mucho! radbym być tobą, abym mógł ztąd wylecieć tą dziurką! Jéj towarzystwo było dla mnie wielką pociechą.

»Ależ,« pytał doktor daléj, »kiedyś ciągle sypiący się piasek widział, czy słyszał, nie obawiałżeś się, że się nareszcie cała jama zasypie, i że się będziesz musiał zadusić?«

Właśnie to sobie myślałem, dla tego żądałem w niedzielę, aby mi spuszczono woreczek, którym mógłbym piasek w górę wysyłać. Spuszczono mi wązki, długi woreczek, który napełniony piaskiem wyciągnięto w górę na szpagacie. (W jednym dniu wyciągnięto cztéry wiadra tego piasku; znajdowały się w nim trzaski, okruszyny desek i kawał obręcza, który zasypanemu był na przeszkodzie, i dla tego go odciął. Niektóre trzaski były krwią splamione. Liczni widzowie dobijali się o ten nowy rodzaj relikwiów, których widok podwyższał jeszcze zajęcie, jakie smutne położenie nieszczęśliwego powszechnie obudziło.)

W poniedziałek, czwartego dnia przed mojém uwolnieniem, zakazano mi nadal wysyłać piasek, ponieważ przesuwanie worka usuwało piasek z wierzchu, tak, że prawie więcéj go jeszcze wpadało, jak to już byłem sam postrzegł. Piérwszych dni nastąpiło nowe zapadnięcie w moich oczach, po drugiéj stronie jamy studziennéj. Piasek posypał mi się na nogi, i zakrył lewą całą, którą tamtędy wyciągnąłem. Wziąłem jednę z desek, którą przy spuszczaniu się włożyłem był w mój ceber, oparłem ją o to miejsce, z którego sypał się piasek, i przeszkodziłem w ten sposób, że nie doszedł aż do mnie; lecz słyszałem jak się sypał za deską, a gdy się go tam znaczna ilość nasypała, wygięła się górna deska w kształt sklepienia. Piérwszych dni mego więzienia położyłem był tę deskę w poprzek nad moim cebrem, i kładłem tam moje flaszki, jak na półkę. Gdy się ta deska tak mocno była wygięła, nie słyszałem już w tém miejscu sypiącego się piasku, i myślałem sobie, że przestrzeń już się zapełniła.

»Cóż robiłeś z drugą deską; wszakże ich dwie miałeś?« — Położyłem ją za siebie, nieco ukośnie, oparłszy jeden koniec o obręcz cembrowin, na drugim końcu siedziałem. Podnosiłem go na cembrowinach nieco w górę, kiedym czynił zadość potrzebom przyrody.

»Chociaż drobny piasek spadał ciągle, jednakże byłoto w małéj ilości? a odkąd postawiłeś przed sobą deskę, nie przytrafiłoż się żadne zapadnięcie?« — Owszem, raz nawet bardzo źle było ze mną; na trzy dni przed mojém uwolnieniem we wtorek, słyszałem jak wszystko nademną trzeszczało, piasek sypał się pomiędzy ziemię i deski, na których lewą nogę oparłem. Sklepienie zniżyło się o pięć lub sześć cali, a moja głowa ciśniona była coraz mocniéj do lewego barku; na szczęście trwało to wszystko tylko przez chwilę, a potém nie ruszało się nic więcéj.

»Czy słyszałeś pracujących na około siebie w studni?« — Gdy mi powiedziano, że sapery z korpusu inżynierów kopią za plecami mojemi studnię, uważałem, że to bardzo jest dobrze, albowiem tylko od strony pleców można mi było pomódź, a więc bardzo właściwe obrali do tego miejsce. Gdy w piasku pracować zaczęli, w głębokości około dziesięciu stóp, usłyszałem piérwsze uderzenie motyki, a następnie wszystkie inne. Ponieważ piasek nie tak był ubity i nie tak drobny jak ten, którego się do murowania używa, więc głos udzielał się przezeń lepiéj. Słyszałem nawet moich towarzyszy robotników studziennych, którzy po drugiéj stronie studnię kopali, lecz nie tak wyraźnie, ponieważ tam piasek lepiéj ubity, a warsty ziemi nie są jednakowe. Mówiłem nawet, że się do mnie nie dobiera, ponieważ studnia przede mną napełniona była połamanémi deskami, ziemią i piaskiem, co wszystko spadłoby było na mnie za najmniéjszém dotknięciem.

»Wieczorem przed twojém uwolnieniem spuszczano ci wina i żywności na dwadzieścia cztéry godzin. Nie wzbudziłoż to w tobie obawy? Myślano, że mogło nastąpić nowe zapadnięcie, a jeźliby cię takowe nie zadusiło, tedy chciano ci sprawić przynajmniéj chwilową ulgę.«

Ta okoliczność nie straszyła mię bynajmniéj. Myślałem sobie tylko, że przez ściśniony otwór nie można nic więcéj przesyłać, a gdy mi teraz na dwadzieścia cztéry godzin przysłano, więc uznano ten przeciąg czasu za dostateczny, aby za pomocą kopanego przez inżynierów kanału dostać się aż do mnie. W tym samym czasie słyszałem rozmawiających żołniérzy, którzy nad mojém uwolnieniem pracowali, mógłem się do nich odzywać i słyszałem osypujący się piasek, który wybiérali. Naraz podniosłszy głowę, ujrzałem światło, i zawołałem natychmiat: »Ach, widzę światło!« Chwila ta była dla mnie nieoszacowaną, lecz nagle uczułem dotkliwe zimno, zrządzone przez ciąg powietrza, który zaraz nastąpił i cofnąłem głowę od otworu, który zrobiono. Porucznik, znajdujący się w kanale, zawołał dwakroć, abym nań patrzał i pokazał mu się przez otwór. Zrobiłem tak, lecz dla zimna, które poczułem, cofnąłem się spiesznie. (Robotnicy w kopalni w Monzil, w bliskości St. Etienne, doznawali w chwili ich uwolnienia, podobnéj boleści z tegoż samego powodu.)

»Gdy się otwór ścieśnił, zawieszono nad twoją studnią dzwonek i spuszczano ci szpagat, do którego był przywiązany; pocożeś tak często dzwonił gdy kanał przekopowano, a ty już światło widziałeś?«

Zawsze dla zimna, zrządzonego przez ciąg powietrza; prosiłem, aby studnię, w któréj się znajdowałem, nakryto z wiérzchu, dla zasłonienia mię od tego. Porucznik zawołał na mnie, abym się nie ruszał, albowiem trzeba obie deski przepiłować, na których się opiérałem, chcąc wleść do kanału. Obawiał on się, aby za dotknięciem deski, nie zapadło się sklepienie na nowo, ale ja mu powiedziałem, że te deski nic nie dźwigają, i nie są wcale podporami. Zacząłem natychmiast jednę z nich moim nożem przecinać. Deska ta była spruchniała, i łatwo się z nią uporałem, chociaż byłem bardzo ściśniony, a deska znajdowała się za mną koło lewego barku. Sapery przepiłowali w jednymże czasie drugą deskę. Prosiłem sierzanta wyjąć wielki kamień i kawał obręcza, który już byłem odciął; sparłszy się z prawéj strony na moją rękę, mógłem po niejakiém natężeniu obrócić się nieco na lewą stronę. Próbowałem włożyć głowę w kanał, gdy w tém pewien sierzant porwał mię silnie za barki,

i ku sobie przyciągnął. Krzyknąłem: »Ach, dzielny inżynierze!« Nowe usiłowania z mojéj strony zbliżyły mnie ku niemu jeszcze bardziéj, aż nareszcie wciągnięto mię do kanału. Tam mię położono na siano. Dobrzy wojacy pospieszali wszyscy przykryć mię swojemi kurtkami jeszcze po kołdrze, którą trzymano dla mnie w pogotowiu, a ja wkrótce zasnąłem na chwil kilka. Zostałem uratowany.

* * *

Rada municypalna Lugdunu postanowiła pamiątkę uratowania Dufawela przesłać do potomności. Tym końcem każe bić medale, które dane będą każdemu oficérowi, podoficérowi i saperowi, mającemu udział w kopaniu studni w Champvert.

Z Warszawy. Zapowiedziana tu *wystawa dzieł sztuk pięknych*, wkrótce będzie otworzoną dla publiczności. Nadesłano do d. 3. listopada 164 obrazów pędzla artystów i miłośników tutejszych. Między témi 86 dzieł oryginalnych, a 78 kopij. (K.W.)

Z pomiędzy literackich pism peryjodycznych w Polszcze wychodzących, zajmuje niewątpliwie jedno z pierwszych miejsc: *Muzeum domowe*, wydawane w Warszawie przez F. S. Dmochowskiego. — Ostatnie cztéry Nra. (39, 40. 41 i 42) zawiérają między innémi: Bijografiją niemieckiego poety i historyka Szyllera, z próbami wzorowego tłumaczenia różnych poezyj jego, pióra Jana Nep. Kamińskiego. Daléj znajdujemy: Rys życia Mikołaja Reja z Nagłowic (z popiersiem jego). Opis Kaźmiérza nad Wisłą (z ryciną wyobrażającą szczątki spichlerzy Kaźmiérza W.) Bijografiją Gustawa Adolfa, króla szwedzkiego (z wizerunkiem). (D.P.)

Z Krakowa. Wystawa obrazów P. Rafała Hadziewicza sprowadziła wielką liczbę ciekawych, zjednała mu chlubną u publiczności opiniję i powiększyła podziwienie dla jego nader pięknego talentu, przekonała zarazem, że przy talencie ciągła praca w trudnéj sztuce malowania do téj wyższości doprowadzić może. Szlachetne obrazy *Śgo Walentego, Judyty* i *Zuzanny* mieszczą w sobie zalety znakomitego artysty, kompozycyja w nich jest dobrze rozumowana i draperyje szérokie, harmonija i przezroczystość kolorów godne szkoły weneckiej, a nade wszystko wielkie charaktery głów dowodzą głęboko ukształconego czucia artysty. Kompozycyje rodzajowe, jak n. p. *Dziadka przegrywającego na teorbanie* i *Żydów* liczę śmiało za arcydzieła pana Hadziewicza. Wyliczając celniejsze dzieła téj wystawy, żal mój wynurzyć muszę, że rodak do kompozycyi stworzony, na malowaniu wizerunków *(portré)*, acz pięknych wprawdzie i bardzo trafnych, zabija czas, którego używając we właściwém przeznaczeniu, powiększyłby tém świetniéj reputacyją swoją, zastępując uderzającą mierność obrazów w świątyniach pańskich płodami odznaczającego się talentu. (G. K.)

Z Pesztu. Nasz przedziwny, ulubiony wirtuoz na skrzypcach, Stanisław Serwaczyński, zajął nas wielce swoim koncertem, danym dnia 2. listopada b. r.

Pani Pohl-Beisteiner, zangażowana przy nowéj operze w Berlinie, bardzo się tamże podoba.

Królewska akademija umiejętności w Berlinie wyznaczyła nagrodę za kompozycyje wielkiéj opery.

Gazeta Wrocławska zawiéra doniesienie, że podróż księcia Pückler-Muskau na Wschód zwlecze się na czas niejaki. Książę ten nabył około 100 morgów ziemi na wyspie Itace, i chce tam osiąść. Ogrodnik jego domowy, który zakładał mu ogród w Muskau, powołany właśnie został do Itaki, dla założenia tamże nowego ogrodu.

Według listów z Wrocławia syndyk tamtejszego miasta, Bartsch, przeglądając archiwum miejskie, znalazł oryginalne listy Wallensztajna, do ówczesnej rady tamtejszego miasta, które po większéj części są bardzo interesujące. Trzeba się spodziewać, że będą drukiem udzielone.

Żelazo w Styryi znane jest jako najlepsze w Europie; kapitan Hall słyszał w tamtejszém górnictwie następującą powiastkę: »Kiedy barbarzyńcy pędzili przed sobą Rzymian, uciekających przed ich zwycięzkim orężem, natenczas pokazał się zwycięzcom jenijusz gór i rzekł do nich: »Czego chcecie, czy na rok miny złota, czy na 20 lat miny śrébra, czy na zawsze miny żelaza?« Oni w prostocie serca prosili o żelazo i dla tegoto tam żelazo tak dobre!

W cesarskiéj mennicy w Stambule biją monetę z wyobrażeniem Mahmuda. W czasie uroczystości *bejramu* mają tę monetę najprzód w obieg puścić.

Teraźniejsi dramatycy francuzcy wprawdzie nie z każdego kwiatka ciągną miód, lecz z każdego okropnego przypadku przedmiot do swoich dram, na których widok, włosy widzom na głowie powstają. Tak okropny przypadek Dufawela podał myśl francuzkiemu autorowi dramatycznemu panu Charles Desnogers do utworzania dramatu, pod napisem: *Le puit de Champvert, ou l'ouvrier lyonnnais*, we dwóch obrazach z epilogiem: *La resurrection*, ktory w kilka dni po szczęśliwym rozwiązaniu tego tragicznego wypadku na paryzkim teatrze po kilkakrotnie był przedstawiony. Publiczność uczęszczała nań w wielkiém mnóstwie.

Oświetlenie gazem zaprowadzone będzie w Paryżu stanowczo, a dotychczasowe szkaradne rewerbery (latarnie) zniknną. W istocie byłoto hańbą, że Francyja w tym względzie tak daleko za Angliją zostawała.

Chronique de Paris opowiada następujące zdarzenie, za którego jednakże rzeczywistość nie zaręczamy: Młodzieniec lat 19 mający, przywołany został przed sąd policyi poprawczéj; oskarzono go o kradzież 2 funtów chleba u piekarza i o wybicie szyby w kramie dla dopełnienia zamierzonéj kradzieży. »Co cię skłoniło do téj kradzieży?« zapytał indagujący urzędnik. — »Głód.« — »Czy nie lepiéj kupić chleba, jak kraść?« — »Prawda, ale ja ani grosza nie miałem.« — »A pierścień, który masz na palcu, czemu nie sprzedasz?« — »Ja jestem podrzutkiem; gdy mnie znaleziono porzuconego na drodze, miałem tę obrączkę na jedwabnym sznurku u mojéj szyi zawieszoną, chowam ją przeto; może mi ona kiedyś posłuży do wynalezienia méj rodziny, dla tego nie mogłem go pozbyć.« Pomimo całego tłumaczenia się sąd przysięgłych uznał go winnym, a biédny chłopczyna na lat 5 więzienia skazany został. W téjże chwili powstaje kobieta, więcéj nędzą jak laty przyciśniona, i tak się do sądu odzywa: »Przed 20stu laty byłam młodą i piękną, uwiodł mnie młody pewien mężczyzna i nieszczęśliwą porzucił. Nędzna i opuszczona, nieszczęśliwe me dziecię powierzyłam opatrzności. Dziecię wyrosło, a matka jego i jéj zwodziciel zestarzeli się; dziecię w nędzy, matka w udręczeniu, a ten co ją uwiódł w dostatkach. Wszystko troje są tutaj obecni. Dziécię, oto ten nieszczęśliwy chłopiec, którego na więzienie skazaliście; matką ja jestem; a ojciec oto ten, który go potępił!« rzekła wskazując na jednego z przysięgłych.

W Londynie miano zrobić nowe odkrycie, którego celem jest za pomocą okrętu napowietrznego w dwunastu godzinach stanąć w Indyjach wschodnich. Aparat składa się z balonu szklannego, napełnionego gazem wodnym i pokrytego ceratą z kitajki. Pod nim znajduje się przyrządzony mocny kosz, w którym dwanaście osób

w tę daleką podróż udających się siedzieć, może. Jak można w dwunastu godzinach tym okrętem stanąć w Indyjach wschodnich? Zagadnienie to rozwiązuje Kopernik. Ziemia obraca się co 24 godzin w tymże samym punkcie ku wschodowi raz na około swej osi; a więc nie jest nic naturalniejszego, jak to, że w balonie zabezpieczonym od wszelkiej zmiany powietrza możnaby uskutecznić takową podróż. Skoro ten balon wzleci nad powietrzokrąg ziemi musi się tam zastanowić, a ponieważ ziemia się obraca, więc mogą żeglarze nadpowietrzni puścić się na którakolwiek okolicę Indyjów wschodnich według upodobania. Za pomocą osobnego naczynia, hermetycznie zamkniętego, można wziąć z sobą zapas powietrza, potrzebny do oddychania w strefach w powietrze ubogich.

W Londynie przyszła nie dawno pewna młoda i modnie ustrojona dama z pierwszym rankiem do biora policyi, i odezwała się w te słowa do sędziego: »Mogę mieć zaszczyt mówienia z wćpanem dobrodziejem?« — »Jestem na jéj usługi, tylko proszę mówić nieco głośniej. Czem sobie rozkażesz pani służyć?« (Dama rumieni się zaambarasowana). »Ach, mój Boże! mój kochany panie, to rzecz zbyt delikatna.« — »Jednakże wiedzieć ją muszę, jeźli nią mam służyć pani.« (Wzruszenie damy coraz się powiększa.) »Mój Boże, mój Boże! czy nie mogłabym z wćpanem mówić między cztérema oczyma.« — »Jako z osobą urzędową? nie, pani.« Co za papiér masz pani w ręku? czy może chcesz podać swoje przedstawienie na piśmie?« — »Nie, mój panie, chcę tylko przysiądz... tak, chcę przysiądz najuroczyściej...« —»Lecz cóż pani chcesz zaprzysiądz?« (Dama podnosi obie ręce w górę i wstrząsa niemi konwulsyjnie.) »Wierność mój panie! wierność wieczystą.« — »Czemużeś pani nie powiedziała tego od razu. Najprzód tedy, kto pani jesteś, i gdzie mieszkasz?« — »Daruj wćpan, że mu mego nazwiska i mieszkania powiedzieć nie mogę, mam do tego ważne powody. Lecz powiem co mię tu sprowadza. Mój mąż ma zamiar wyjechać na stały ląd, gdzie czas niejaki zabawi, a ja chcę wćpanu złożyć uroczystą przysięgę... (na w pół omdlała).« — »Uroczystą przysięgę! na jaki koniec?« — »Że mężowi memu zostanę wierną, i że go kochać będę przez cały czas jego niebytności.« —»Żałuję, moja pani, że nie jest w mojej mocy przyjąć tak moralnéj przysięgi; nie należy to do mojego urzędu.« — Bardzo dobrze, mój panie! lecz bądź tak dobry, i daj mi to na piśmie, z czegoby mój mąż mógł się przekonać, żem była tutaj, chcąc mu złożyć przysięgę wierności.« — »I tego zrobić nie mogę.« A młoda pani oddaliła się w wielkim smutku.

Uprawa roli w Anglii wzbogaconą została nową rośliną pastewną, pochodzącą z Hudsonsbaj. Roślina ta z najdalszych stron północnych pochodząca, posiada tę szczególną własność, że skoro jéj łodyga zostanie odciętą, wyrasta inna z pozostałego pnia lub korzenia, i że tym sposobem wynagradza poniesioną stratę przez cały rok. Żadna zima choćby najostrzejsza nie morzy téj rośliny, która dostarcza nieustannie dla bydła pożywnej karmi. Tak zimne jako i wilgotne grunta przystępne są dla jéj uprawy. Gospodarze angielscy uważają ten gatunek rośliny jako zysk nieoszacowany dla chowu bydła, za który podziękować mamy p. Bishop z zamku Methuen, wielce zasłużonemu w podniesieniu uprawy karmi i roślin.

Jan Loke, filozof angielski, gniewał się zawsze gdy widział ludzi rozumnych, zasiadających do gry; takowa zabawa stosowna była, jego zdaniem, tylko dla ludzi nie myślących, którzy inaczéj przepędzić czasu nie umieli. Książę Buckhingham, lord Halifax i kilku innych, ukształceniem i wysokiemi zdolnościami odznaczających się panów, zeszło się razem do lorda Ashley, był tam i Loke. Zaraz po pierwszem przywitaniu przyniesiono karty, a wszyscy zasiedli natychmiast do gry, ucinając wszelką inną rozmowę. Loke, który do gry nie należał, przypatrywał się jéj przez czas niejaki, potém siadł przy stoliku w kącie pokoju, dobył pulares i pisał z wielką uwagą. »Co tam piszesz Sir?« zapytał po niejakim czasie jeden z grających, który to postrzegł. »Milordzie!« odrzekł Loke, »staram się korzystać z chwili obecnéj, jak tylko mogę najlepiej; albowiem mając zaszczyt być przytomnym zgromadzeniu najświatlejszych mężów Anglii, sądzę, iż nic lepszego uczynić nie mogę, jak spisać ich rozmowę. Mam już właśnie wszystko, cokolwiek od godziny mówili; czy chcecie panowie, abym wam to przeczytał.« Wszyscy wypraszali się od przeczytania, bo wiedzieli to dokładnie, jak śmieszną graliby rolę w artykule w ten sposób ułożonym. Rzucili więc karty, i rozmawiali o rzeczach, odpowiednich ich światłu i ukształceniu.

Bej i żebrak. Mehmed-bej był ministrem u Mehmeda Alego, teraźniejszego baszy Egiptu. Był on jednym z tych prawdziwych Muzułmanów, których rysy charakteru teraz coraz bardziej znikają. Pewnego piątku po paradzie, siedział Mehmed-bej w sali posłuchalnej na pysznym dywanie, otoczony swymi oficerami. Nagle wchodzi do sali ubogi starzec okryty łachmanami. Nędza i znużenie złamały go, i zmieniły twarz jego. Staje u wnijścia i oczekuje w milczeniu pokąd się doń nie odezwie minister. I w rzeczy samej postrzegł Mehmed-bej natychmiast łachmany żebraka między świetną odzieżą sług swoich: »Ktoś ty, i czego żądasz?« zapytał go. »Jestem Macedończyk;« odrzekł ubogi, a gdy to mówił, uważał go pilnie minister. »Przystąp bliżéj!« zawołał do niego mocno wzruszony, powstawszy z swego siedzenia. Ubogi zbliża się, a minister zowie go po nazwisku. »Tak, jestem ten sam!« odpowiedział żebrak, i rzucili się sobie w ramiona, ściskają się mocno za ręce w milczeniu, i ze łzami w oczach. Potem bierze minister swój płaszcz czerwony, złotem i drogiemi kamieniami ozdobny, zarzuca go na ramiona swego przyjaciela i sadza go na miejscu zaszczytnem. Przedstawia go potem swoim oficerom jako przyjaciela swojego dziecięctwa, towarzysza swojéj nędzy, gdy jeszcze nie posiadał pałaców, sług ni godności, i chwali przyjaciela swego, że o nim nie zapomniał jeszcze, chociaż on w tym przeciągu czasu majątku i potęgi dostąpił. Mehmed-bej ofiarował biednemu Macedończykowi połowę swoich dóbr, lecz ten nie przyjął ofiary i prosił tylko o mały kącik w jego domu, aby mógł wielkość swojego przyjaciela podziwiać i rozmawiać z nim czasem o swojéj ojczyźnie i młodości, pokąd go Bóg do siebie nie powoła. Wszystkie te życzenia jego zostały zaspokojone. Żył on jako gość w domu ministra, a ten kazał nawet postawić sobie grobowiec obok grobowca swego przyjaciela. Na drodze, prowadzącej ze starego Kairu do Bulak, widzieć się dają dwa mauzolea, ocienione sykomorami. Od lat ośmiu chodzi tam wdowa Mehmeda-beja co piątku opłakiwać w ich cieniach swego męża.

Galimatyjasz. W Słowniku Konwersacyjnym czytamy następujący początek tego wyrazu: W pewnem mieście kogut jednego mieszczanina wpadł oknem do mieszkania jego sąsiada, i narobił mu dużo szkody. Właściciel tego koguta nazywał się Maciej. Rozgniewany sąsiad zapozwał Macieja przed sąd. Rozpoczął się procces oralny, w którym patron pokrzywdzonego sąsiada wykładał w obszernéj mowie, w języku łacińskim, poniesioną szkodę. Przychodziło mu często mówić o kogucie. Nie tęgi łacinnik, ilekroć miał powiedzieć kogut Macieja *(gallus Mathiae)*, powiedział zawsze Maciej koguta *(galli Mathias)*, i tak rzecz swoją powikłał, iż przytomni sędziowie, nie mogąc domacać się sensu w téj gmatwaninie, nazwali ją *galimatyjaszem*.

Redaktor Jan: Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.